

# GLOBTROTTER

MAGAZYN PODRÓŻNIKÓW

Cena: 6,90 PLN (w tym 7% VAT)

www.e-globtrotter.pl

ISSN: 1895-6440

INDEX: 212644

NUMER 05 (06) 2006 (I)



# Papua

Po tamtej stronie czasu



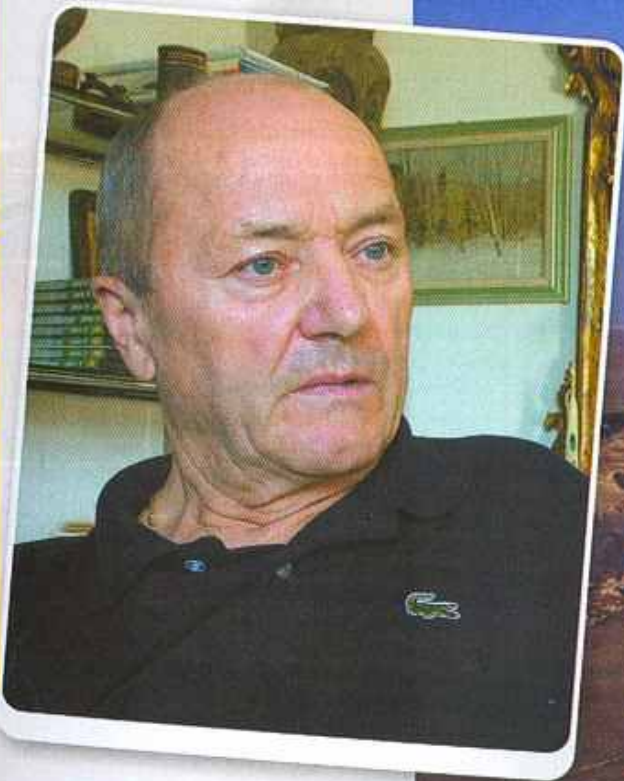
9 9 771895 644600

**BIRMA** - KOLORY I KONTRASTY  
**EGZOTYCZNA POLSKA** - MASZYNY-GIGANTY  
**JACEK BAKIEWICZ** - ROZMOWA  
**MŁODAWIA** - CYGAŃSKA BIEŚIADA  
**KRZYSZTOF WIELICHI** - JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA



O uzależnieniu od adrenaliny, polskiej zawiści, poszukiwaniu El Dorado, sztuce sprzedawania swoich osiągnięć, źródłach, karabinie przyłożonym do głowy przez własnego ochroniarza, podróżowaniu do granic możliwości, pracy w kopalni diamentów w Sierra Leone i locie w kosmos, który nie doszedł do skutku, mimo wytargowania 50-procentowego rabatu opowiada

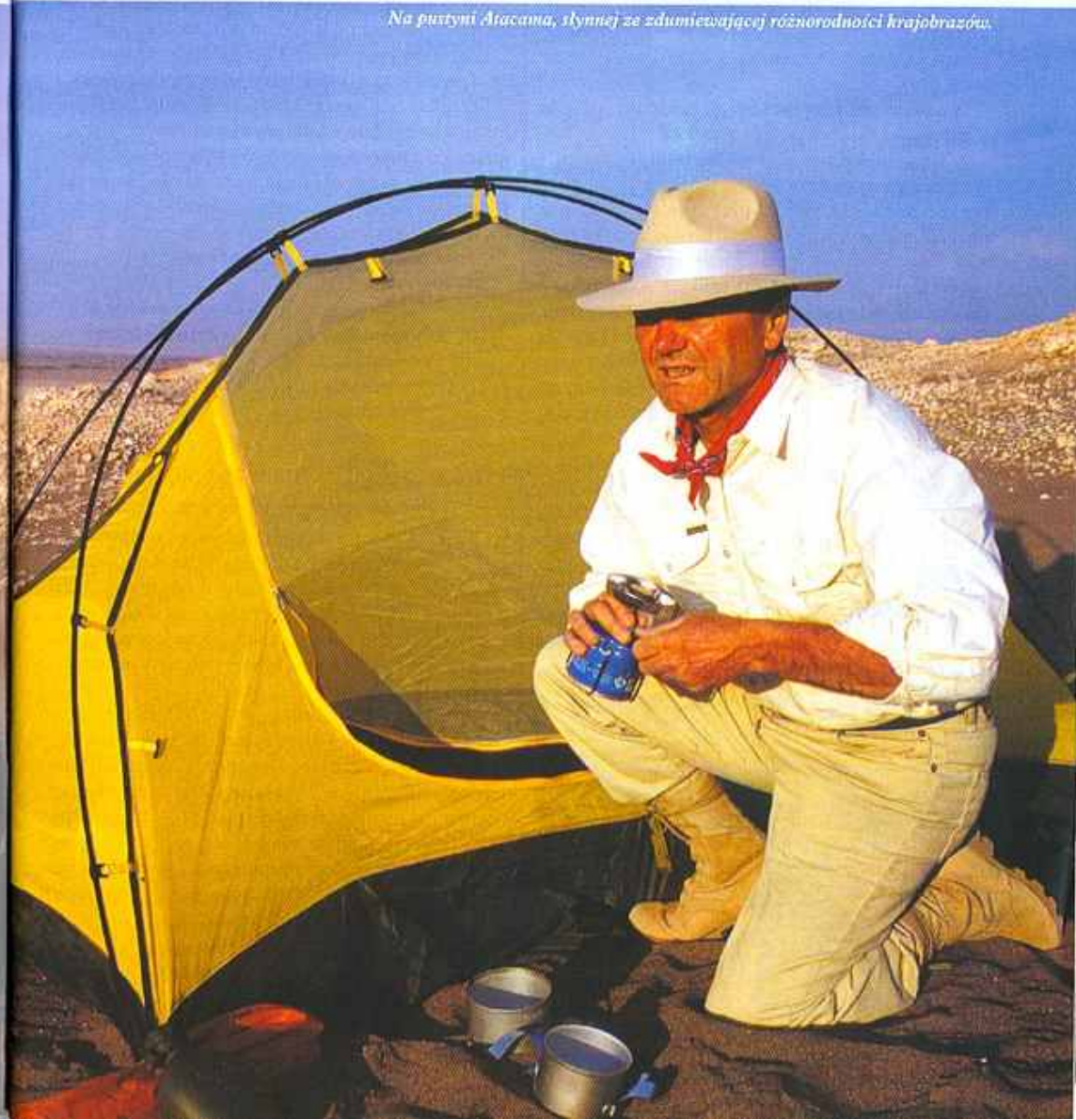
## JACEK PAŁKIEWICZ



# Szósty bieg

Rozmawiają: Sławomir Kunc i Piotr Tomza  
Zdjęcia: archiwum Jacka Pałkiewicza; Sławomir Kunc

*Na pustyni Atacama, słynnej ze zdumiewającej różnorodności krajobrazów.*





„Globtroter”: Pana życiorys jest niezwykle bogaty: ma pan w dorobku imponującą liczbę wypraw, parą się pan najrozmaitszymi zajęciami. Jakby tego było mało, większość informacji na pana temat jest co najmniej intrygująca. Zaczynając od początku – nie urodził się pan w Polsce.

**JACEK PAŁKIEWICZ:** - Podczas wojny moi rodzice zostali wywiezieni na roboty do Niemiec, do miejscowości Immensen, która obecnie jest dzielnicą Hanoweru – tam pojawiłem się na świecie. W końcu lat 40. przyjechaliśmy do Polski, do Elku, i właśnie tam, na Mazurach, się wychowywałem. Rozpocząłem tam jeszcze szkołę średnią, a potem przeniósłem się do Warszawy. Natomiast w szeroki świat ruszyłem w roku 1970.

Co pana do tego pchnęło? Naczytał się pan w młodości książek podróżniczych?

- Tak, to była podstawa. Książki zaszczepiły we mnie pasję podróżowania, dzięki nim mogłem poczuć namiastkę smaku przygody, który dobrze poznałem w późniejszych latach. Ważne było również harcerstwo, do którego należałem, ale przede wszystkim chyba to, że mieszkając w Elku, nad jeziorami, od małego żeglowałem. Pamiętam, że patent otrzymałem w wieku 13 lat. Od tego się tak naprawdę zaczęło – najpierw Mazury, potem rejsy po Bałtyku, a mój apetyt stał się rosnąć. Dlatego nasze morze wkrótce okazało się za małe i poczu-

- Moja droga na te statki była dość nietypowa. Do szkoły morskiej owszem, próbowałem się dostać, ale było to wówczas bardzo trudne i z kilku drobnych powodów mi się nie udało. Dopiero kilka lat później, mieszając już we Włoszech, ukończyłem przyspieszony kurs – z pomocą przyjaciela w dwa tygodnie zrobiłem cały materiał szkoły morskiej: dzięki doświadczeniom żeglarskim dobrze czułem się w takich przedmiotach jak nawigacja czy meteorologia i nie miałem z nimi problemu. Zagadnienia bardziej fachowe tak naprawdę tylko „liznałem”, ale egzamin na patent drugiego oficera pokładowego, który zdawałem przed komisją liberyjską, zaliczyłem. To otworzyło mi drogę na statki właśnie owych „tanich bander”: panamskiej, cyprijskiej, liberyjskiej – wszystkich najdziwniejszych, które tylko rejestrują jednostki.

Trafitem na okres, kiedy brakowało ludzi do pracy, dlatego łatwo było się zamustrować. Wybierałem więc najciekawsze rejsy – w te miejsca, gdzie najbardziej mnie ciągnęło: czy to do Ameryki Południowej, czy na Daleki Wschód. W ciągu dwóch lat, bardzo często zmieniając statki, zwiedziłem prawie wszystkie morza świata.

Nie był pan już wtedy taki bardzo młody. Kiedy się pan zdecydował, co chce robić w życiu?

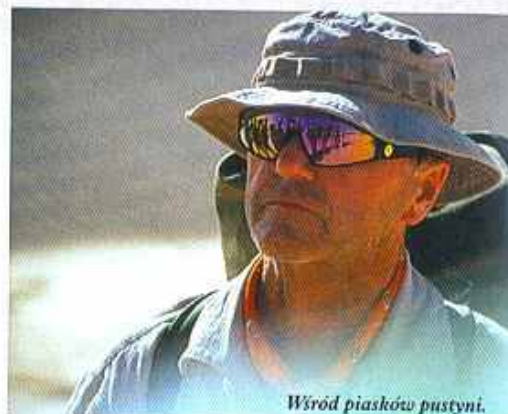
- W momencie, gdy nie dostałem się do szkoły morskiej, poczułem, że umyka mi gdzieś możliwość zwiedzania świata. Dla kogoś żyjącego

Przełom nastąpił jednak chyba w roku 1975? Samotnie przepłynął pan wtedy Atlantyk drewnianą łodzią ratunkową „Paty” [nazwa na cześć córki], startując z Dakaru i lądując po 44 dniach na plaży w Georgetown, w Gwjanie.

- Przełom przede wszystkim w tym sensie, że odtąd zacząłem być znany, miałem dobrą wizytówkę, dzięki czemu łatwiej było mi pozyskiwać sponsorów. Wyprawa odbiła się szerokim echem we Włoszech, szybko ukazała się książka (miała też polską edycję w serii „Miniatury morskie”). To wszystko było odskocznią, która pozwoliła mi na rozpoczęcie etapu profesjonalnego podróżowania.

Skąd w ogóle taki pomysł, żeby w pojedynkę porywać się na szalupie przez ocean?

- Pasjonowały mnie samotne wyprawy morskie. Niewiele wcześniej sławę zdobył Leonid Teliga [w latach 1967-1969 opłynął świat dookoła], był Krzysztof Baranowski. Mnie jednak nie było stać na jacht, a nie będąc znany, nie mogłem też liczyć na sponsorów. Dlatego uznałem, że zrobię najlepiej, gdy popłynę jako „rozbiitek”. Udowodnię, że szalupa zdaje egzamin – jeśli tylko człowiek się nie podda, jest w stanie dopłynąć na niej do brzegu i się uratować. Dlatego zabrałem ze sobą bardzo ograniczony ekwipunek i niewiele jedzenia, zakładając, że będę się żywił rybami.



Wśród piasków pustyni.

Zgoda, z jednej strony uzyskał pan w ten sposób wielkie poczucie siły i zastrzyk energii, ale z drugiej – czy coś takiego nie uzależnia od adrenaliny? Potrafił pan po tym i potrafi pan teraz żyć bez mocnych wrażeń?

- Na pewno każde kolejne doświadczenie wpływało na mój charakter. Tak – adrenalina zadziałała jak narkotyk, bez którego do dziś nie mogę się obejść. Jest to o tyle niezdrowe, że wciąż potrzeba coraz większej dawki. Tymczasem obecnie ciężko jest dokonywać nie lada wyczynów, bo świat bardzo się skurczył, zostało mało miejsca na coś rzeczywiście mocnego, bo tak wiele już zrobiono. Kiedy poprzeczkę podniesie się bardzo wysoko, to później

„(...) adrenalina zadziałała jak narkotyk, bez którego do dziś nie mogę się obejść.

lem potrzebę zmierzania się z oceanami, z głębszymi wodami.

Miał pan do tego okazję, pływając jako oficer na statkach tzw. tanich bander. Ukończył pan szkołę morską?

Chwila relaksu z pięknosciami z plemienia Himba w Namibii.



w PRL-u, morze było najlepszą odskocznią, gdy miało się takie marzenia. Uznałem wtedy, że szansę podróżowania będę miał także, jeśli zostanę dziennikarzem. Rozpocząłem więc współpracę z kilkoma czasopismami, przede wszystkim z „Kulisami”, z którymi byłem związany od samego początku.

W roku 1970 znalazłem się we Włoszech – poznałem panią, która złapała mnie w sidła (choć ona twierdzi, że było odwrotnie), ożeniłem się i tam zamieszkałem. Poza wszystkim niesłychanie ułatwiło to realizację moich planów – mając włoski paszport, mogłem swobodnie poruszać się po świecie. Nie musiałem już polegać na łasce lub niłasce polskiego urzędnika, który mógł wydać albo wstrzymać paszport.

Nadszedł czas na pierwszą wyprawę?

- Tak jest, samotną. Zresztą na początku wszystkie takie były. W 1972 roku wybrałem się do Indochin, nad Mekong. Potem jeździłem trochę samochodem po Afryce.

Jest to o tyle niezdrowe, że wciąż potrzeba coraz większej dawki.”

W jednym ze wspomnień z tej podróży pisze pan, że był moment, gdy postanowił pan przerwać walkę. Było tak ciężko, że chciał pan poprosić o pomoc pierwszego napotkany statek. A jednak nie zrobił pan tego. Dlaczego?

- Rzeczywiście, to był moment, który pozwolił mi wrzucić w życie „szósty bieg”. Każdy „normalny” człowiek ma ich pięć, jak samochód, ale tego rodzaju sprawdzian, jak ten, który przeszedłem wówczas na morzu, przeskoczenie poprzeczki zawieszanej naprawdę bardzo wysoko, pozwala niezwykle mocno uwierzyć we własne możliwości i poczuć się silniejszym od innych, od tych, którzy nie mieli okazji doświadczenia czegoś podobnego. Bo pewnych rzeczy nie da się osiągnąć, czytając książki czy oglądając filmy – trzeba przez to przejść „na żywo”. A kiedy się uda, człowiek jest tak napompowany, zyskuje taką pewność siebie i przekonanie, że sobie poradzi, że przydaje się to potem w dziesiątkach najprzeróżniejszych sytuacjach.

Mnie się udało i dzięki temu mam odtąd w sobie ogromną siłę, która mi pomaga.

trudno o coś, co by naprawdę satysfakcjonowało i dawało pewność, że nie marnuje się czasu na zwykłą wycieczkę, ale robi rzecz, która daje wewnętrzne zadowolenie, potem jakiś chleb, i którą będzie się można podzielić z czytelnikami, opisując ją.

Wspomniał pan, że po samotnej wyprawie przez Atlantyk łatwiejsze stało się pozyskiwanie sponsorów. Ekstremalne wyprawy sporo jednak kosztują – jak pan sobie radzi ze zdobywaniem pieniędzy na realizację swoich planów?

- Kiedy zaczynałem, organizacja wyjazdów nie kosztowała tak dużo, jak teraz. Było też „luźniej”, bo nie było tylu „orłów”, konkurujących ze sobą o sponsorów. Gdy ktoś był znany, mógł przebierać w ofertach. Ten rynek zalał się po zamachach na Nowy Jork w 2001 roku. Dzisiaj nawet dla mnie, a mam przecież dość bogate dossier, znalezienie sponsorów to spore wyzwanie. A mnie jest i tak łatwo, bo mnie znają, dlatego nie zazdroścę młodym, którzy muszą walczyć o pieniądze.

Chociaż wiem też, że wielu ludzi zabiera się



do tego tematu niewłaściwie – przedstawia potencjalnym sponsorom niekonkretne i nieprofesjonalne oferty, kieruje je do nieodpowiednich osób, nie pilnuje tego, co się z nimi dzieje. No i siłą rzeczy odpadają już na pierwszym etapie. Ale nawet jeśli projekt jest przygotowany solidnie, to żeby zainteresować daną firmę, trzeba przedstawić gwarancję, że o wyprawie informować będą media,

że w Polsce nie mam swojego agenta, więc wszyscy ko muszą załatwiać sam”. Już po programie Domagalik powiedziała mi: „Zupełnie mnie pan zastrzeżił tą odpowiedzią! Zamknął mi pan buźkę i musiałam zacząć improwizować na całkiem inny temat”.

Bo w Polsce to jest jakaś wstydliva sprawa. A ja uważam, że jeśli ktoś ma coś do sprzedania,

„Przepraszam bardzo – mnie się nie udało, ja na wszystko zapracowałem,

że pojawi się telewizja, w związku z czym sponsor może liczyć na konkretne korzyści, takie jak choćby wymienianie jego nazwy czy pokazywanie logo. Wtedy jest już zupełnie inna rozmowa, chociaż i to oczywiście nie gwarantuje sukcesu – każda instytucja dostaje dziś codziennie co najmniej kilka próśb o wsparcie, więc ma z czego wybierać.

**W wywiadzie dla „Globtrotera” Wojciech Cejrowski nazwał pana wzorem do naśladowania właśnie w tej dziedzinie – „mistrzem autopromocji”. Podobna się panu taka opinia na własny temat?**

- Byłem kilka lat temu gościem telewizyjnego programu Małgorzaty Domagalik pt. „Męski striptiz”. Na samym początku usłyszałem od prowadzącej: „Panie Jacku, mówią o panu, że jest pan mistrzem autopromocji”. I widziałem, że czeka, jak będę się z tego tłumaczył. A ja odpowiedziałem: „Dziękuję za komplement. Tym większy,

a nie potrafi tego zrobić, to bardzo niedobrze. Trzeba się przepychać łokciami, dać się poznać, bo w przeciwnym razie nie będzie z tego ani chleba, ani satysfakcji. Nie wolno się wstydzić – jesteś ładny, zgrabny i mądry, to o tym powiedz.

**A co pan odpowie na zarzuty, że wyolbrzymia pan swoje osiągnięcia?**

- Miałem kiedyś spotkanie autorskie w Weronie z pokazem slajdów. W bardzo eleganckim miejscu. Usłyszałem wtedy, jak siedzące w pierwszym rzędzie dystygowane panie w futrach szepczą między sobą: „Ale ten pan ma fantazję!”

Tak mnie to wtedy uraziło i ubodło, że postanowiłem opowiadać odtąd najwyżej połowę tego, co przytrafia mi się na wyprawach. Ale ta połowa to dla niektórych i tak za dużo. Ja nie mam sobie nic do zarzucenia, nie koloryzuję.

**Nie ma pan takiego wrażenia, że w Polsce jest grupa ludzi, podróżników, którzy...**

- Przepraszam, że przerwę. Polska jest znana z zawiści, w dodatku zupełnie bezcelowej. Ktoś mówi o mnie: „O, temu to się udało”. Przepraszam bardzo – mnie się nie udało, ja na wszystko zapracowałem, harowałem. Szczęście to można mieć raz lub dwa, ale nie cały czas.

**No właśnie – to trochę taka gorsząca, a nawet żalona historia.**

- To było takie podwórkowe, ocierające się o rynsztok. Zamiast się cieszyć i podkreślać, że Polak coś osiągnął, mieliśmy wybuch zawiści. Owszem, miałem sprawę sądową, ale nie o to, kto mówi prawdę w kwestii tego, gdzie byłem i co odkryłem, ale za to, że zbesztalem pewnego człowie-

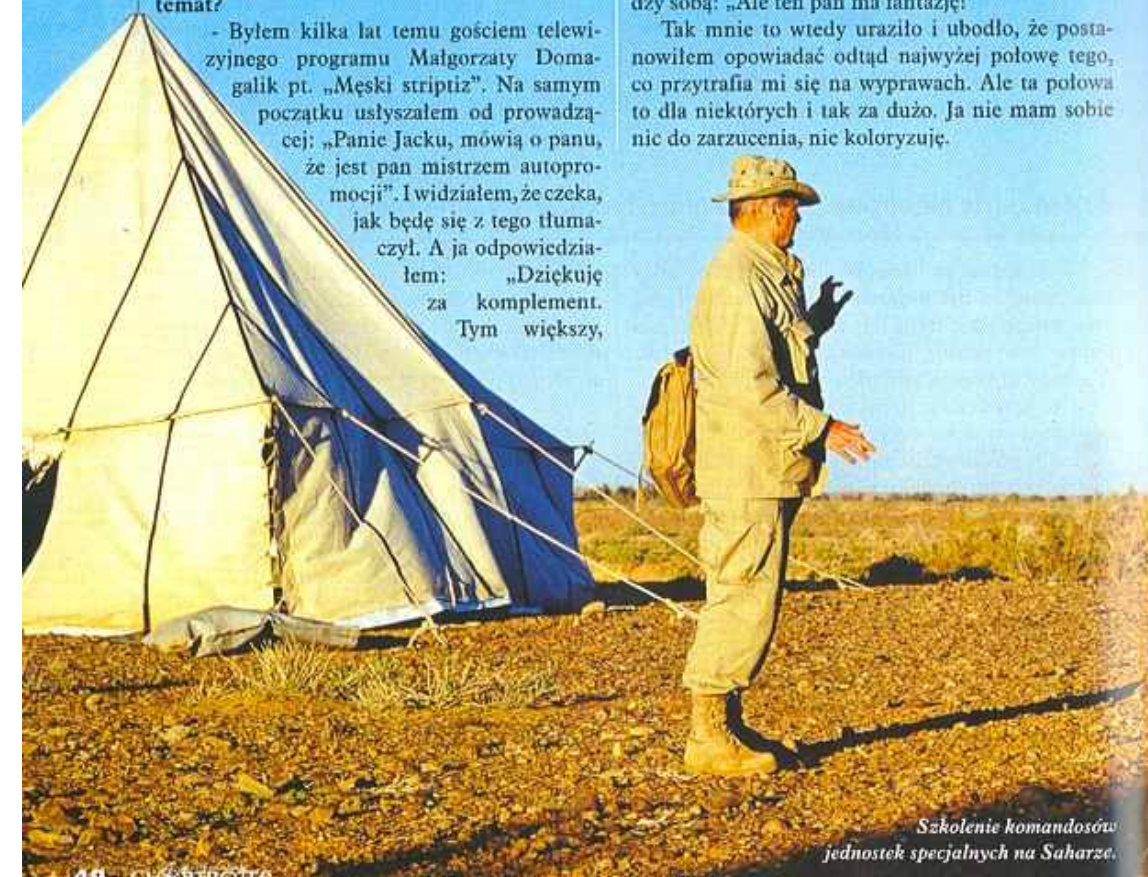
harowałem. Szczęście to można mieć raz lub dwa, ale nie cały czas.”

W Polsce nie mam zbyt wielu kontaktów. Lubię i szanuję Marka Kamińskiego, cenię bardzo Krzysztofa Wielickiego – to jest as nad asy. Mówię tu o ludziach, którzy naprawdę coś osiągnęli. To samo dotyczy Wojciecha Cejrowskiego – w jakimś sensie jest moim konkurentem, bo kręcimy się często po tych samych miejscach, ale jesteśmy przy tym jak najdalej od uczucia zawiści. Kiedy napisałem z uznaniem na okładce jego książki parę serdecznych słów, to niektórzy nie mogli się nadziwić: „Tak ciepło wyrażać się o konkurencji?” Bo to takie niepolskie. Zagranicą, we Włoszech, gdzie czuję się jak w domu, nigdy nie spotkałem się z taką zawiścią, jak w Polsce. Bo to tutaj musiałem przejść te boje i konflikt o źródła Amazonki [patrz: ramka].

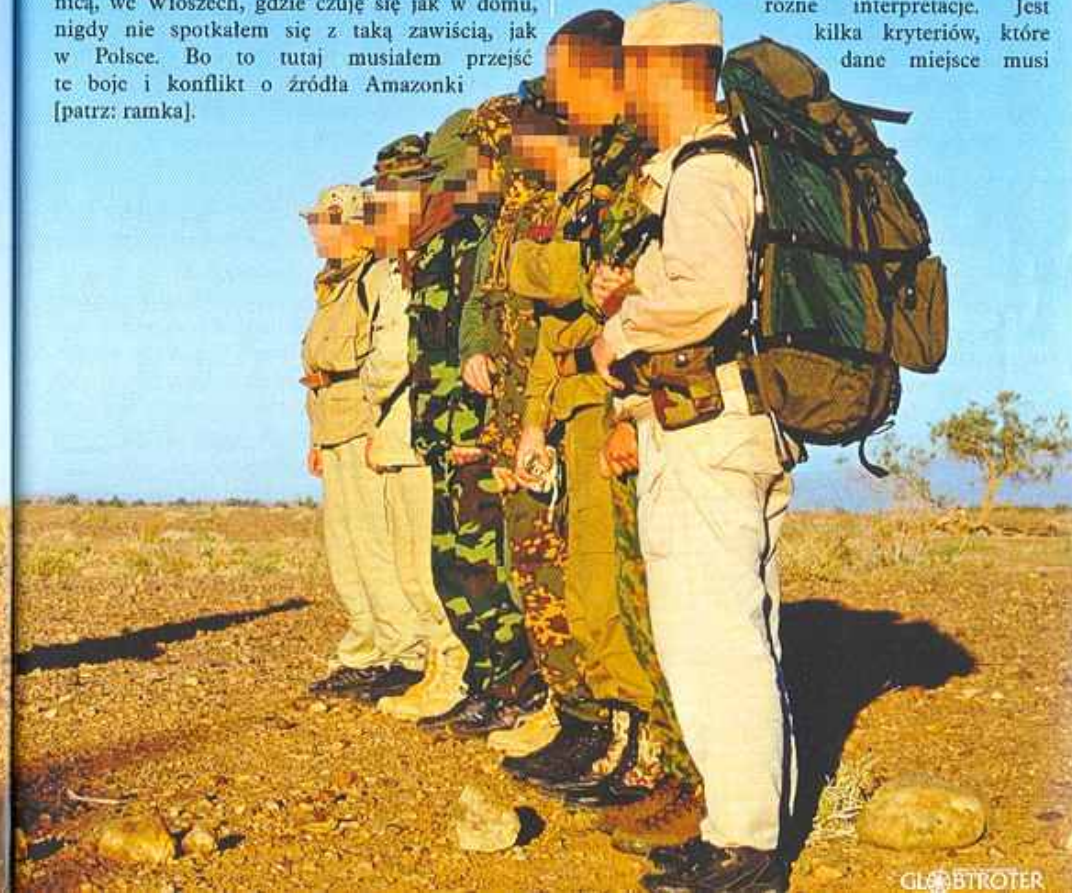
ka i potraktowałem go niewybrednymi słowami. Potem się z tego otrząsnąłem – już nie polemizuję, nie tracę na to czasu. Źródła Amazonki są w Peru. W przypadku wątpliwości – a tych tu przecież nie brakowało – to zawsze dany kraj podejmuje ostateczną decyzję w takiej kwestii.

**A interesował się pan jeszcze jakimiś innymi źródłami?**

- Trochę kręciłem się wokół Mekongu, ale ostatecznie to porzuciłem. Określanie źródeł rzek, nie tylko Amazonki, to zresztą w ogóle skomplikowana sprawa i bardzo często pojawiają się różne interpretacje. Jest kilka kryteriów, które dane miejsce musi

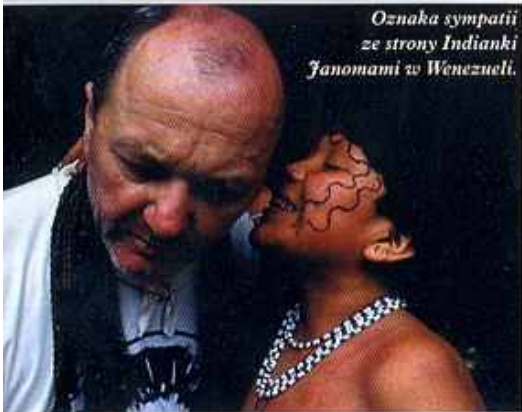


Szkolenie komandosów jednostek specjalnych na Saharze.





Oznaka sympatii  
ze strony Indianki  
Janomami w Wenezueli.



spełniać, żeby zostało uznane za źródło rzeki – najlepiej wszystkie równocześnie, ale często jest to niemożliwe. Miejsca, z którego wypływa Amazonka, nie ustaliłem samowolnie – uczestniczyłem w międzynarodowej wyprawie, w której udział wzięli fachowcy z kilku krajów, zaangażowana była marynarka wojenna Peru. Towarzystwo Geograficzne w Limie, a więc instytucja odpowiedzialna za te kwestie, uznała nasze ustalenia za ważne i oficjalnie ogłosiła je na konferencji prasowej. Czyniono potem – to ta polska zawiść – różne podchody, by to podważyć, ale jeśli ktoś szuka dowodów czarno na białym, łatwo je znaleźć – w Towarzystwie Geograficznym w Limie.

„Wierzę, że znajdę El Dorado. (...)tym razem się uda, bo nie będzie to już błądzenie

Swoich wypraw nie koncentruje pan na jednym terenie, ale skacze pan z miejsca na miejsce, po całym świecie. Nie traktuje pan przez to wszystkich zbyt powierzchownie?

- Może znowu ktoś to odbierze jako przechwałki, ale nie znam drugiego takiego, który poruszałby się na tak wielu polach. Podchodzę do wielu tematów i co w tym złego? Nie uważam, żebym traktował je powierzchownie. Zajmuję się wszystkim bardzo na serio.

Oczywiście, nie jestem mistrzem świata we wszystkich dziedzinach, którymi się zajmuję, ale nie mam też takich aspiracji. Nie przeszkadza mi, że ktoś jest na danym polu większym specjalistą ode mnie. Zadowolam się tym, że w wielu rzeczach jestem po prostu dobry.

Odwiedził pan już chyba wszystkie miejsca, które pan chciał zobaczyć. Ma pan wytyczone jakieś nowe cele?

- Muszę mieć. W przeciwnym razie chyba umarłbym z nostalgii. Ale wybór nowych tematów istot-

nie robi się coraz trudniejszy, trzeba skupiać się na coraz węższych zagadnieniach.

Czyli konkretnie co teraz? Zamierza pan kontynuować poszukiwania El Dorado? Wyprawa z 2002 roku nie zakończyła się odnalezieniem legendarnego miasta.

- Kosztowało mnie to sporo czasu i energii. Ciągle wierzę, że znajdę El Dorado. Gdy tylko pojawią się fundusze, podejmiemy temat i jestem przekonany, że tym razem się uda, bo nie będzie to już błądzenie po omacku. Wiem, gdzie trzeba jechać.

Poszukiwanie El Dorado brzmi jak balansowanie między legendą a rzeczywistością. Pan wierzy w ten mit? Może traktuje pan te opowieści z pogranicza fantazji zbyt poważnie?

- Twardo chodzę po ziemi. Żeby w coś uwierzyć, muszę dotknąć. Dlatego nie trafiają do mnie historie na temat przybyszów z obcych planet, których ktoś, gdzieś niby widział. El Dorado też mnie długo nie obchodziło, właśnie z tego powodu. Dopiero w pewnym momencie zacząłem badać i zgłębiać ten temat. Mam zresztą bardzo solidną podstawę dla tego zainteresowania: XVI-wieczny rękopis znaleziony w archiwum jezuitów, z którego wynika, że papież wydał polecenie ewangelizowania Indian mieszkających w El Dorado właśnie. To poważny dokument, który wskazuje, że to miasto nie jest tylko mitem.

Jak pan trafił na ten manuskrypt?

- „Wyrzebał” go pewien włoski archeolog. Kiedy się o tym dowiedziałem, od razu pojechałem do watykańskiego archiwum i zacząłem go studiować. To było potwierdzenie licznych innych relacji i materiałów mówiących o realnym istnieniu El Dorado – wreszcie coś mocnego, czemu można było bez większych obaw zaufać.

I czego się pan spodziewa po odnalezieniu El Dorado? Co to będzie? Góry złota?

- Uważam, że to po prostu miejsce, ostatnie, gdzie Inkowie schronili się przed konkwistadorami. Czy jest tam złoto? Powinno być, jednak dla mnie to o tyle nieistotne, że osobiście nic z niego nie będę miał, nawet znaleźnego – peruwiańskie prawo jest pod tym względem bardzo surowe.

Ale oczywiście, lepiej byłoby, gdybyśmy złoto znaleźli. Wtedy będzie to większe wydarzenie, wzbudzi ogromne zainteresowanie mediów. W końcu wiadomo, jak one w dzisiejszych czasach działają: im więcej krwi, kurestwa i złota, tym ciekawiej.

Ale nie tylko legend pan szuka. W 2003 roku wybrał się pan do boleśnie rzeczywistej Somalii, jednego z najniebezpieczniejszych państw na Ziemi. Czego pan tam szukał? To była „podróż do granic możliwości” po najbardziej ekstremalne wrażenia? Jak można w ogóle wyczuć tę granicę: co jest podróżowaniem jeszcze do, a co już poza barierę, której przekroczenie kosztuje życie?

- Linia oddzielająca zdrową ciekawość od awanturnictwa i bycia kamikadze jest rzeczywistość płynna. W pościgu o to, by jak najdalej dojść, łatwo się pomylić, potknąć i spaść. Dlatego tak przydaje się doświadczenie, dzięki niemu lepiej wiadomo, kiedy można zrobić jeszcze jeden krok naprzód, a kiedy trzeba się cofnąć.

Somalia interesowała mnie przede wszystkim dziennikarsko. Przez kilka lat nie widziałem w Europie prawie żadnych informacji o tym kraju, więc postanowiłem sam się tym zająć. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ta wizyta będzie niebezpieczna.

Bo tam zagrożenie po prostu czuć w powietrzu. Przez blisko dwa tygodnie pobytu nie miałem nawet pięciu minut, żeby się rozluźnić – cały czas żyłem w ogromnym napięciu. Miałem co prawda kilkunastoosobową ochronę, uzbrojoną po zęby i wyposażoną nawet w działko przeciwlotnicze zainstalowane na pickupie, ale i oni, kiedy skierowałem w ich stronę aparat, żeby zrobić zdjęcie,

po omacku. Wiem, gdzie trzeba jechać.”

okazali się niezbyt pewni, bo w momencie miałem karabin przyłożony do głowy.

Somalia to nie był pierwszy „kraj upadły”, który pan odwiedził. Dużo wcześniej pracował pan np. w Sierra Leone.

- Tak, w latach 70., w kopalni diamentów. Jako biały człowiek nie mogłem być oczywiście zwykłym robotnikiem, tylko inspektorem i w pewnym sensie ochroniarzem. To była ogromna kopalnia odkrywkowa, w związku z czym dookoła kręciło się mnóstwo nielegalnych poszukiwaczy szlachetnych kamieni. Trzeba ich było odganiać, co było o tyle niebezpieczne, że broni nie wolno nam było używać – tylko w obronie własnej – oni natomiast często strzelali pierwsi.

A jak się pan tam znalazł w ogóle? Bo przyzna pan, że to trochę nietypowe zajęcie.

- Włóczęąc się po Afryce, odwiedziłem w Ghanie przyjaciela, Włocha, który pracował w kopalni złota. Zapytałem, czy nie znalazłoby się coś

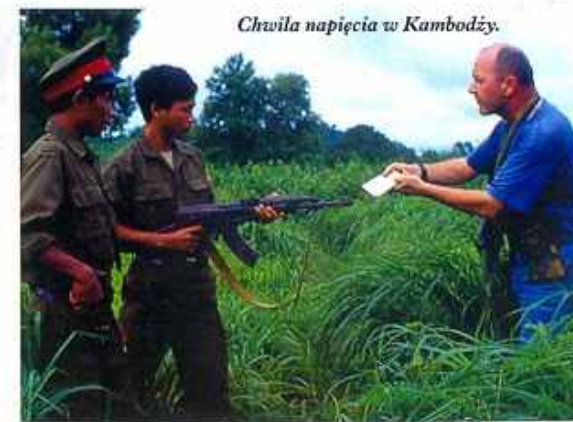
dla mnie i zostałem. Pracowałem tam kilka miesięcy, a następnie, po wypadku, w którym zginął ów przyjaciel, przenieśliem się właśnie do Sierra Leone.

To była bardzo męcząca praca. Poza wszystkimi niebezpieczeństwami, żyło się ciągle w atmosferze nieufności, podejrzeń, nawet wobec kolegów. Każdy potencjalnie mógł coś wynosić lub mieć kontakty z ludźmi zajmującymi się kontrabandą. Ale oczywiście traktowałem te zajęcia jako zbieranie doświadczeń, a nie zawód na resztę życia.

Uczestnicząc w dziesiątkach wypraw, podróżował pan również z rosyjskimi kosmonautami. Nie myślał pan, żeby przy okazji wybrać się poza Ziemię?

- W pewnym momencie stałem się w Rosji bardzo popularny. Tłumaczono moje książki, drukowano artykuły, zapraszano do telewizji – do dziś moje nazwisko zna tam trzy razy więcej ludzi niż w Polsce. Odwiedziłem m. in. podmoskiewskie centrum przygotowań kosmonautów i zaprzyjaźniłem się z kilkoma osobami, zacząłem pomagać w szkoleniach. Któregoś dnia zapytałem mojego przyjaciela, gen. Szatałowa, ile by mnie kosztował lot w kosmos. On na to odparł: „Jacek, to nie ja decyduję, wszystko na Kremlu, ale tobie, po znajomości, załatwimy zniżkę 50%”. Pytam go więc: „Czyli ile?”. „10 milionów”. Pomyślałem: „Tylko 10 milionów?”, będąc przekonany,

że chodzi o ruble – byłoby to ok. 50 tys. USD. Niestety, Wołodia odpowiedział, że ma na myśli te zielone banknoty. Nawet najlepszy sponsor tyle by mi nie dał.



Chwila napięcia w Kambodży.



**Ogromną część życia spędza pan poza domem, a żony na wyprawy pan nie zabierał. Jak pan to sobie z nią poukladał?**

- Rzeczywiście, tak się złożyło, że w moich wyprawach kobiety w ogóle bardzo rzadko brały udział. A żona zna i znała mój charakter wcześniej, wiedziała, że nie mogę spokojnie usiedzieć w domu, tylko muszę się cały czas włóczyć. A że jest mądra i inteligentna, nigdy mi w tym nie przeszkadzała. Wiedziała, co kupuje.

Zresztą we Włoszech to trochę inaczej wy-

szym Polakiem w Unii Europejskiej i chyba jest w tym sporo prawdy. Mając dwa paszporty, już przed 1989 rokiem byłem Europejczykiem, co oznaczało swobodę ruchu. Gdy tylko miałem ochotę i pieniądze, wsiadałem w samolot i leciałem tam, gdzie chciałem, nawet do USA, bo wiza nie była mi potrzebna. Wolność i swoboda są dla mnie niezmiernie ważne.

Dzięki temu zawsze dobrze czułem się w Europie i nie zamieniłbym jej na USA, Nową Zelandię czy nawet na Bora Bora, a wszędzie tam miałem

**„Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że Europa to mój dom. Dlatego równie**

gląda niż w Polsce. Tam „głowa rodziny”, mąż, to nadal świętość – to on ma najczęściej do powiedzenia. Słowo „emancypacja” niewiele ma wspólnego z atmosferą włoskiego domu.

**Właśnie, żyje pan ciągle jedną nogą w Polsce, a drugą we Włoszech. Ciężko jest się przestawić z jednych realiów na drugie?**

- Dodajmy, że nieustannie przy tym gdzieś jeżdżąc. Ktoś napisał kiedyś, że Pałkiewicz był pierw-

bardzo interesujące propozycje pracy. Gdy ląduję na lotnisku w Amsterdamie czy Frankfurtach, wracając z innego kontynentu, mogę głęboko odetchnąć – wreszcie czuję się jak w domu. Bo nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że Europa to mój dom. Dlatego równie dobrze mieszka mi się w Warszawie, co we Włoszech.

**A polityka pana interesuje?**

- Nie, z tym nigdy nie miałem nic wspólnego,

nigdy nie głosowałem w żadnych wyborach, w żadnym kraju. Gazet też nie czytam. Tylko kiedy oglądam wiadomości, to czasem coś się we mnie burzy na ten bajzel, bałagan i polityczne piractwo.

**Ale zna pan wielu polityków, osobistości z pierwszych stron gazet. Na okładce pańskiej książki „Pasja życia” można znaleźć rekomendacje zarówno od Lecha Wałęsy, jak i od Wojciecha Jaruzelskiego.**

prezydentami Rosji. Czasem komuś się nie podoba, że nie zwracam uwagi na cudze poglądy polityczne i utrzymuję kontakty ze wszystkimi. Uważam jednak, że jak komuś to przeszkadza, to już jego problem.

**Na koniec chcieliśmy jeszcze wrócić do pana niezwyklej podróży przez Atlantyk. Podobno w najtrudniejszym momencie obiecał pan sobie, że już nigdy więcej nie wypłynie w morze. Dotrzymał pan słowa?**

**dobrze mieszka mi się w Warszawie, co we Włoszech.”**

- Lech Wałęsa od wielu lat mówi mi, że chciałby gdzieś ze mną pojechać. Ale nigdy nie ma czasu. Powiedziałem mu kiedyś: „Jesteś już na emeryturze, więc może teraz?” – znowu się wykręcił spotkaniami i odczytami, dlatego nie wierzę, by w końcu się wybrał.

Ale istotnie – mój polityczny daltonizm pozwala mi się przyjaźnić z ludźmi ze wszystkich stron sceny: od prawej do lewej. Bo mam dobre stosunki też z Jaruzelskim właśnie, czy z byłymi

- Skąd. To takie marynarskie obietnice, zaklinanie. Plywałem potem jeszcze wielokrotnie, chociaż istotnie nigdy w tak ekstremalnej formule. Powtarzanie czegoś takiego, jak tamta podróż, podobnie zresztą jak wyjazdu do Somalii, byłoby bez sensu. Są bowiem pewne rzeczy, które można zrobić tylko raz w życiu. Potem nie ma już do tego żadnej pozytywnej motywacji – pozostaje tylko obawa i świadomość, jak łatwo można takie przygody przypłacić głową.

JACEK PAŁKIEWICZ, 64 lata, dziennikarz, podróżnik, autor filmów dokumentalnych i książek tłumaczonych na wiele języków, pionier survivalu w Europie – w 1982 roku założył we Włoszech pierwszą na kontynencie szkołę przetrwania: cieszyła się ogromnym powodzeniem i stała się wzorem do naśladowania dla kolejnych placówek tego rodzaju.

Odbył kilkadziesiąt dużych wypraw w prawie wszystkie zakątki świata, m. in. dwa razy przemierzył od brzegu do brzegu wyspę Borneo, był na biegunie zimna (przed najbliższymi świętami Bożego Narodzenia ukaze się w Polsce jego książka na ten temat: „Syberyjska odyseja”, Wydawnictwo Zysk i S-ka) oraz samotnie przepłynął Atlantyk łodzią ratunkową. Szkolili też rosyjskich kosmonautów za kołem polarnym oraz komandosów GRÖM-u na Saharze.

Jest członkiem elitarnego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

Wraz z żoną, Lindą, mieszkają na przemian we Włoszech i w Warszawie. Mają córkę i dwóch synów.

Jest znany i rozpoznawany na całym świecie, jednak w Polsce najgłośniejsze było nim przy okazji konfliktu dotyczącego źródeł Amazonki. W 1996 roku Pałkiewicz kierował międzynarodową wyprawą, która ustaliła miejsce, z którego wypływa jedna z najdłuższych rzek świata. Kilku Polaków, uczestników wyprawy „Canoandes”, którzy w 1981 roku jako pierwsi spłynęli kanionem Colca w Peru, a następnie eksplorowali rejon, z którego bierze swój początek Amazonka, zarzuciło Pałkiewiczowi, że uzurpuje sobie tytuł odkrywcy źródeł, ponieważ przed nim zrobił to Piotr Chmieliński. Padło wiele mocnych słów oraz wzajemnych oskarżeń o fałszowanie wydarzeń i koloryzowanie własnych osiągnięć.

Nie chcemy zabierać stanowiska, kto miał rację w tym sporze, bo nie wydaje nam się to aż tak ważne.



*Na przelaj przez Borneo (czerwiec 2006 roku) w poszukiwaniu ostatnich Dajaków.*